

Na wszystkie sprawy jest czas pod niebem

Zazwyczaj kolejna własna rocznica urodzin jest dniem, w którym człowiek uświadamia sobie upływający czas. Koniec roku kalendarzowego jest chyba jednak jeszcze bardziej sugestywnym wyzwalaczem refleksji dotyczącej czasu. Jest w Biblii wspaniały poemat na temat czasu, sformułowany przez jednego z największych sceptyków wśród autorów ksiąg biblijnych – Koheleta (Koh 3, 1-17). Dla czytelnika zakotwiczonego w mentalności pierwszych dwóch dekad XXI w., a więc ery wszechogarniającego Internetu, wszystkimających smartfonów, wszędzie dolatujących tanich linii lotniczych oraz powszechnie dostępnych towarów usługowych, a nawet luksusowych, tekst ten musi być doprawdy irytujący. Kohelet w całej swej niefrasobliwości oświadcza, że „wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem” (Koh 3, 1). Na wszystko jest czas – mówi ktoś, kto musiał spędzać tygodnie, przemierzając dystans, który współczesny człowiek może pokonać w dwie godziny; ktoś, kto czekał niekiedy latami na wiadomość od bliskich, która obecnie dociera do adresatów w kilka sekund; ktoś, kogo zasób wiedzy zmieściłby się zapewne w niewielkiej broszurze reklamowej współczesnego supermarketu. Tylko że ten człowiek zdawał się... MIEĆ czas! Zapewne żył w przekonaniu, że wszystko, co go spotyka, dzieje się po coś i zapewne miał wystarczająco wiele pokory, by rozumieć, że na większość ważnych spraw w swoim życiu nie ma wpływu.

Gdyby chcieć zapytać o krótką charakterystykę, która pasowałaby do większości współcześnie żyjących ludzi, to pewnie można byłoby powiedzieć, że są to istoty przekonane, że NIE MAJĄ czasu. Wyrażenie: „Niestety, nie mam czasu!”, wraz z podobnymi wyrażeniami typu: „Muszę jeszcze to zrobić – i to na wczoraj”, „Chętnie, ale najpierw muszę zajrzeć do mojego kalendarza” czy też „Sorry, ale muszę już lecieć”, wypowiedziane z charakterystycznym głębokim westchnieniem, należą do klasyki codziennej współczesnej komunikacji. Kiedy się jednak zastanowić nad tym fenomenem, nie można się oprzeć wrażeniu, że to powszechnie odczuwane poczucie braku czasu wcale nie zależy od epoki, w której się żyje i że człowiek wcale nie jest w tej kwestii zupełnie bezbronny. Wystarczy puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie człowieka przyszłości, który będzie być może dysponował środkami komunikacji mentalnej bez konieczności używania jakichkolwiek urządzeń, będzie miał być może zdolność teleportacji, a przynajmniej możliwość błyskawicznego przemieszczania się na życzenie i będzie miał być

może indywidualny dostęp do wiedzy, w porównaniu z którą współczesne biblioteki naukowe to makulatura. Czy ktoś taki wreszcie będzie miał poczucie, że MA czas? Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można powiedzieć, że przeciętny przedstawiciel tego przyszłego ludzkiego społeczeństwa będzie dotknięty plagą pośpiechu w jeszcze większym stopniu, niż piszący te słowa.

Chociaż ludzie różnie przeżywają swój czas, to jednak każdy MA go tyle – 24 godziny na dobę. Reszta to kwestia nastawienia i gospodarowania czasem pracy i czasem wypoczynku. Jest oczywiście wiele czynników, stanowiących czasoprzestrzenną ramę, w której komuś przyszło żyć i która może niekiedy mocno doskwierać. Tworzą ją ludzie, z którymi się żyje i za których jest się odpowiedzialnym, zadanie życiowe, jakie człowiek wybrał i związane z nimi obowiązki, ograniczenia związane z kondycją zdrowotną i szereg innych czynników. Jednak mimo wszystkich determinant, ostatecznie poczucie czasu, jaki się ma do dyspozycji zależy ode mnie, od moich oczekiwań, ambicji, przyzwyczajęń, planów oraz tego, jak radzę sobie z oczekiwaniami otoczenia.

I może się okazać, że to z początku tak dziwacznie brzmiące zdanie Koheleta może stanowić lekcję, którą trzeba odrobić, by móc ze spokojem stwierdzić, że na wszystkie sprawy (naprawdę istotne!) jest odpowiedni czas pod niebem. A te, na które go nie starcza, są nieistotne i można je spokojnie pozostawić. I być może jest to dobra refleksja na pierwsze dni nowego roku, kiedy zmiana daty w kalendarzu daje człowiekowi tak przyjemne złudzenie, że oto otrzymało się zupełnie nowy czas, cały rok nowego czasu do dyspozycji.

Luty 2020

Konsekrowani

W dniu poświęconym osobom konsekrowanym, jakim jest corocznie 2 lutego – święto Ofiarowania Pańskiego, mała dziewczynka, po powrocie z kościoła, pyta mamę: „A co to znaczy, że niektórzy ludzie są *konserwowani*?”. Mama odpowiada: „No bo Pan Bóg chce, by się nie zepsuli”. W tej anegdocie zawarte jest ziarno prawdy, które odnosi się nie tylko do osób konsekrowanych, ale też do całego Kościoła. Każdy uczeń Chrystusa ma być solą dla ziemi i światłem dla świata i będzie mógł pełnić tę rolę tylko jako niezepsuty, pachnący świeżością Ewangelii. Ale osoby oddane Bogu przez śluby zakonne mają mieć to zadanie wpisane w każdy ich oddech i każdy krok.

Osoby konsekrowane były w Kościele, rzec by można, od zawsze, chociaż w analizach historycznych początki życia mniszego wiązane bywają z tzw. ojcami pustyni i takimi postaciami z przełomu III i IV w., jak Pachomiusz Starszy czy Antoni Wielki, a później także Benedykt z Nursji. Z pozoru wydaje się, że życie konsekrowane w swoich rozlicznych formach, jakie powstawały, zamierały i odżywały na nowo na przełomie stuleci, toczyło się zawsze jakby w cieniu głównego kościelnego nurtu, kościelnej polityki, jakby na drugim planie. Jednak baczne spojrzenie na historię Kościoła pokazuje, że każda poważna reforma Kościoła rozpoczynała się zawsze od reformy i ożywienia życia zakonnego, ale też każdy kryzys w Kościele rozpoczynał się od osłabienia i rozkładu tego życia.

Osoby konsekrowane to ludzie dotknięci jakimś świętym niepokojem, który nie bierze się z lęku przed apokaliptyczną katastrofą, ale z fascynacji Ewangelią. Są to ludzie „poderwani” do wyruszenia w drogę przez słowo Jezusa, które nie pozwala im na taki sposób przeżywania codzienności, który przez ogromną większość wierzących jest uważany za właściwy i normalny. Bóg chce mieć ludzi, którzy nie tylko głoszą, ale też pokazują Ewangelię swoim życiem. Bóg chce mieć ludzi, którzy uczynią swoim najważniejszym zadaniem tę czujność, do której Jezus wielokrotnie wzywał swoich uczniów. Duchowa czujność jest w Biblii określona dwoma czasownikami. Pierwszy z nich to *blepō*. Słowo to oznacza po prostu „patrzeć”, ale także „mieć oczy otwarte, być uważnym”. Drugi czasownik to *grēgoreō*, co oznacza „być czujnym, nie spać”. Osoby konsekrowane są właśnie po to, by z uwagą, miłością i modlitwą towarzyszyły dziejom ludzkości i stanowiły dla niej nieustanne przypomnienie o Tym, który jest najważniejszy.

Jeżeli ludzie konsekrowani żyją zgodnie z tym, co postanowili, gdy składali swoje śluby zakonne, wtedy oczywiście nieuchronnie pojawia się ostry konflikt z tym, co nie jest Boże, a co w Biblii jest określone po prostu jako „świat”. Chodzi nie o świat jako taki, który przecież zaraz po stworzeniu został przez samego Stwórcę określony jako dobry. Chodzi o to, co w odniesieniu człowieka do innych i środowiska nie jest Boże, bo zostało sformatowane według zupełnie innej, złej miary. W sytuacji tego nieuchronnego konfliktu sprawdza się to, co Jezus powiedział o swoich uczniach, modląc się do swojego Ojca w niebie: *Ja im przekazałem Twoje słowo, a świat ich znienawidził za to, że nie są ze świata [...] Oni nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata* (J 17, 14-15). Jakże często jednak osoby konsekrowane są boleśnie konfrontowane z tym, że granica między Bożym a nie-Bożym światem nie przebiega gdzieś na zewnątrz nich, ale wiedzie dokładnie poprzez ich serca i umysły. Noszą one w sobie jeszcze wiele z nie-Bożego świata, któremu w porywie pierwszej miłości wypowiedziały

posłuszeństwo. Bolesnie doświadczają, że w świecie duchowym także istnieje coś w rodzaju „grawitacji”, która ściąga w dół, ku temu, co przyziemne; że u korzenia wielu motywacji istnieje niezwykle mocna sprężyna egoizmu; pychy i próżności, nierzadko głęboko ukryta, która naznacza i plami nawet najświętsze zamierzenia, plany, czyny i słowa. Noszą swój skarb w naczyniach glinianych, aby mogło się pokazać, że to, co naprawdę czyni ich solą dla ziemi i światłem dla świata, nie jest jedynie efektem ich wysiłków i zaangażowania, ale owocem działania Bożej łaski.

Nieraz w historii i współczesności chrześcijanie musieli znosić zło, które przyszło z najbardziej niespodziewanej strony, właśnie od tych, którzy mieli być żywymi znakami Ewangelii. Ileż jednak razy klasztory okazywały się także „miastami ucieczki”, oazami życia, przywracającymi równowagę i radość zagubionym, poranionym i zdesperowanym ludziom. Życie konsekrowane to szczególny sposób bycia chrześcijaninem. Trzeba prosić Boga, by w świecie zamętu, w którym wszystko wydaje się relatywne i w którym nie ma już żadnych niezmiennych punktów odniesienia, otwierał serca i umysły wielu młodych na to ciche, ale stanowcze zaproszenie Pana: „Chodź za Mną”...

Marzec 2020

Czas morowego powietrza

W ostatnich dziesięcioleciach śpiewaliśmy w kościołach suplikacje w różnych okolicznościach: raz było zbyt wiele słońca, co potęgowało znacznie zagrożenie pożarowe, raz zbyt wiele wody, która zalewała domy i niszczyła zasiewy. Były też różne zawirowania polityczne. Rozumieliśmy, co to znaczy, że Bóg ma nas ochronić od głodu, od ognia i wojny. Ale od powietrza? Niektórzy zapewne nawet nie zastanawiali się, skąd ta prośba w suplikacjach. Jest ona echem wielkich zaraz, które w poprzednich wiekach pustoszyły Europę. Morowe powietrze budziło grozę, bo niosło śmierć wszystkim, niezależnie od wieku, stanu społecznego i zgromadzonego bogactwa.

Chyba nikt, nawet autorzy katastroficznych powieści i filmów, nie spodziewał się, że morowe powietrze może stać się problemem na skalę światową w końcu drugiej dekady XXI w. Sytuacja dzisiejsza jest oczywiście inna, Dzisiaj wiadomo przynajmniej, jaka jest przyczyna zakażenia i w jaki sposób można go uniknąć, nie mówiąc już o nieporównywalnie większych

możliwościach medycyny. A jednak nastrój grozy dotyka wszystkich, potęgowany przez zalew prawdziwych i fałszywych wiadomości w mediach.

Chrześcijanie są dotknięci epidemią koronawirusa tak, jak niewierzący, ale ich reakcja na to niecodzienne wydarzenie może być inna. Prędzej czy później pojawi się pytanie, co Bóg chce nam przez to powiedzieć? Dlaczego do tego dopuszcza? Na to pytanie ostatecznie nie znajdziemy zadowalającej odpowiedzi. Ale jedno jest pewne. Epidemia koronawirusa jest znakiem, który musi być potraktowany poważnie. Otrzymaliśmy czas rekolekcji wielkopostnych, jakiego jeszcze nie było. Rozbrzmiewa w tym czasie mocne wezwanie do nawrócenia. Świat otrzymuje sygnał, że cywilizacja budowana bez Boga jest rzeczywiście cywilizacją śmierci, która rozsypie się w proch przy pierwszym większym globalnym zagrożeniu. Błędem byłoby jednak szukanie naprędce ludzi lub środowisk, których grzechy miałyby być bezpośrednią przyczyną pandemii. Szukanie kozłów ofiarnych byłoby jedną z form paniki, której ani społeczeństwo, ani Kościół nie potrzebuje.

Nie jest też właściwe ignorowanie zaleceń sanitarnych, co miałoby być jakimś szczególnym znakiem wiary w Opatrzność, która wobec tak wielkiej wiary miałaby nie pozwolić na zakażenie. Kościół nigdy nie wzywał do takiej lekkomyślności. Ale jednocześnie, nawet w czasie największych zaraz, Kościół starał się zapewnić wiernym opiekę duszpasterską. W średniowieczu wymyślono nawet specjalne pokoje do spowiadania zadżumionych. Taki pokój miał dwoje drzwi po przeciwległych stronach ściany. Specjalnie zbudowane sklepienie przewodziło głos na tyle, że szept chorego zwróconego twarzą do ściany w jednym rogu pokoju, był słyszany przez spowiednika zwróconego twarzą do ściany w przeciwległym rogu. W ten sposób każdy z dwóch chorych, wchodzących jednym wejściem mógł się spowiadać u jednego z dwóch spowiedników, którzy wchodzili innym wejściem. Zapewniona była zarówno higiena, jak i intymność spowiedzi. Podobnej wyobraźni Kościoła, zamiast zamykania Kościołów i odwoływania Eucharystii, potrzeba na nowo w czasie Wielkiego Postu roku 2020, który pozostanie niewątpliwie pamiętnym czasem.

Słowo Boże wskazuje jasną drogę również w tej sytuacji. Autor Drugiego Listu do Tymoteusza poucza swojego adresata mocnymi słowami: „Nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy, miłości i trzeźwego myślenia” (2 Tm 1,7). Te trzy elementy: moc, miłość i trzeźwe myślenie muszą stworzyć postawę, która zdoła przeprowadzić nas przez ten czas próby. Najpierw jest to Boża moc, płynąca z wiary, że Bóg towarzyszy nam także w tej trudnej godzinie. Ta moc staje się udziałem serca nawróconego, które szczerze przyjmuje dar Sakramentu pokuty i Eucharystii. Potem miłość, szczególnie miłość bliźniego, która sprawia,

że człowiek ma na myśli i uwadze nie tylko własne sprawy, ale też i drugih, szczególnie tych najbardziej potrzebujących. Może Chrystus w najbliższym czasie zamieszka w naszym sąsiedztwie, tam gdzie są ludzie starzy i schorowani, którzy boją się wyjść, a przecież muszą zaspokoić swoje codzienne potrzeby. Słowa Jezusa: „Byłem chory i w więzieniu, a przysłicie do mnie” (Mt 25, 36) nabierają w obecnej sytuacji niezwykle znaczenia. I wreszcie trzeźwe myślenie. Autor 2 Tm używa tu rzeczownika *sophronismos*, który można przetłumaczyć jako zachowanie zimnej krwi, roztropność, rozwaga. Odwaga wiary, czynna miłość bliźniego i rozwaga trzeźwego umysłu to trzy nierozłączne cnoty, jakie w obecnej sytuacji powinny cechować wierzących w Chrystusa.

Kwiecień 2020

Eucharystia w cieniu koronawirusa

Rok duszpasterski 2019/2020 jest w polskim Kościele obchodzony pod hasłem „Oto wielka tajemnica wiary”. Ma on być pierwszym z trzech kolejnych lat, które będą poświęcone Eucharystii. Zapewne nikt z grona tych, którzy zdecydowali, że Kościół w Polsce będzie starał się w najbliższych latach pogłębić pobożność eucharystyczną, nie przypuszczał, że temat ten w kontekście pandemii koronawirusa stanie się tak bardzo aktualny, a nawet będzie przedmiotem ostrej kontrowersji. Ograniczenie dostępu do Eucharystii oraz udzielenie długotrwałej dyspensy od uczestnictwa w niedzielnej Mszy św., jest szokiem, który musi zostać dopiero wbudowany w świadomość polskich katolików. Może to się okazać tym trudniejsze, że media społecznościowe zapełniły się wypowiedziami rzekomych obrońców Eucharystii, którzy odsądzają od czci i wiary decyzje hierarchów kościelnych i czynią siebie samych (powołując się na mniej czy bardziej wiarygodne objawienia prywatne) arbitrami w sporze o właściwe – bo płynące z głębokiej wiary – zachowanie w stosunku do Eucharystii w czasie trwania pandemii. Jednocześnie jednak, jak to bywało wielokrotnie w poprzednich wiekach, każda taka ostra kontrowersja stanowi szansę na odnowienie i pogłębienie prawdziwie katolickiej wiary i pobożności.

Warto wskazać chociażby na trzy tematy tego aktualnego eucharystycznego sporu. Pierwszym jest przyjmowanie Komunii św. na rękę. Zapewne katolicy pierwszego chrześcijańskiego tysiąclecia z wielkim niedowierzaniem przysłuchiwaliby się tej kontrowersji, gdyż wtedy w ten właśnie sposób, tzn. na skrzyżowane dłonie, ułożone jak tron, przyjmowano

eucharystycznego Jezusa. Oczywiście sposób przyjmowania Komunii św. zależy od osobistej pobożności i dlatego nie powinien być w ogóle przedmiotem sporu. Zmagać się należałoby jedynie o to, czy ktoś godnie, czy niegodnie, czyli w stanie łaski uświęcającej czy też w świadomości popełnionego grzechu śmiertelnego, przyjmuje Eucharystię. Tam, gdzie ktoś przyjmuje Jezusa czystym sercem i z zachowaniem szacunku w zewnętrznych gestach, sposób Jego przyjęcia jest drugorzędny: zarówno język, jak i dłoń stanowią część tego samego ludzkiego ciała, którym Bóg nie gardzi. Powinno to być tym bardziej oczywiste w kontekście tego, że w katolickich wspólnotach neokatechumenalnych, których statuty zatwierdził ostatecznie papież Benedykt XVI, Eucharystię przyjmuje się na rękę od dziesięcioleci.

Z tym problemem związana jest druga kwestia: czy zalecenie, by w czasie epidemii koronawirusa przyjmować Komunię św. na rękę, nie jest znakiem braku wiary? Pytanie to zostało w całej ostrości wyartykułowane w nośnym haśle: Czy Jezus może zarażać? Każdy wrażliwy katolik natychmiast odpowie: Oczywiście, że nie! Czy jednak można stwierdzić, że w czasie przyjmowania Komunii św. w ogóle nie może dojść do zakażenia wirusem? Warto w tym kontekście przypomnieć niezmienną od dwu tysiącleci naukę Kościoła. Po przeistoczeniu w czasie Mszy św. chleb staje się rzeczywiście Ciałem Chrystusa, a wino staje się Krwią Chrystusa, tzn., że pod postacią chleba i wina jest obecny żywy Chrystus i to tak długo, jak długo te postacie w swojej normalnej formie istnieją. Jednak – i to trzeba obecnie bardzo mocno wierzącym przypomnieć – przeistoczenie nie odbiera *niczego* z fizycznych właściwości konsekrowanego chleba i wina: w wyniku konsekracji nie zmienia się smak, nie zmienia się wygląd, nie zmienia się fizyczne działanie na ludzki organizm. I stąd dla alergików, używa się hostii bezglutenowych, a wypicie zbyt wielkiej ilości Krwi Pańskiej spowodowałoby takie same objawy, jak nadużycie alkoholu. Skoro fizyczne możliwości chleba i wina w wyniku przeistoczenia się nie zmieniają, to nie zmieniają się także ich możliwości wchodzenia w interakcję z otoczeniem. Gdy w czasie wielkich celebracji pod gołym niebem w wyniku ulewy Święta Hostia zamoknie, to może się skleić w kielichu z innymi komunikantami lub nawet po prostu rozpuścić w wodzie tak samo, jak hostia niekonsekrowana. Ktoś powie, że Chrystus może przecież uczynić cud i przeszkodzić w przekazaniu koronawirusa w związku z przyjmowaniem Eucharystii. To prawda. Jako wierzący jesteśmy mocno przekonani, że może. Ale czy naprawdę będziemy sądzić, że będzie to czynił na zawołanie tych, którzy chcą pokazać światu, że pandemia ich nie dotyczy, bo mają rzekomo tak mocną wiarę? Takie nastawienie byłoby niczym innym, jak wystawianiem Pana Boga na próbę, wielokrotnie potępionym przez słowo Boże.

I wreszcie trzeci zarzut, zgodnie z którym pasterze Kościoła tak przestraszyli się koronawirusa, że zamknęli Kościoły i przestali sprawować Eucharystię. Niektórzy widzą w tym jakiś demoniczny spisek, w który dał się wmanewrować Kościół, wskutek którego na świecie prawie ustało sprawowanie Eucharystii. Trzeba jasno powiedzieć, że zarzut zaprzestania Eucharystii jest po prostu nieprawdziwy. Nigdzie, gdzie do tej pory sprawowano Eucharystię, nie zaprzestano jej sprawowania. Kościół nadal sprawuje Eucharystię w każdym parafialnym kościele. Ograniczona została natomiast jej dostępność dla wiernych. Nie ulega wątpliwości, że dla wielu osób, których porządek dnia zawierał także uczestnictwo w codziennej Eucharystii, jest to doświadczenie niezwykle bolesne. Jednak jest w nim też ogromna szansa odnowienia świadomości, że obecność Chrystusa towarzyszy nam wszędzie i że osobista, serdeczna relacja z Nim jest możliwa, nawet wtedy, gdy z różnych racji – chociażby z racji pandemii – nie można przystąpić do Komunii św. tak często, jak by się pragnęło. Warto w tym kontekście przywołać także praktykę Komunii św. duchowej. Jest ona szczerym aktem woli, mocą którego człowiek otwiera się na obecność Chrystusa i tęskni za Nim, prosząc, by Chrystus objął w posiadanie serce, umysł i całą osobę. Doświadczenie tego niespodziewanego „postu eucharystycznego”, jakie przeżywa obecnie tak wielu katolików świeckich, może być zbawienne, jeśli doprowadzi do odnowienia świadomości, że celebrowanie Eucharystii nie jest po prostu zawsze dostępnym rytuałem, ale szczególną formą spotkania z żywym Chrystusem, którą należy o wiele bardziej cenić, niż czyniliśmy to dotychczas.

Kto wie, czy poprzez pandemię koronawirusa nie przeżyjemy o wiele głębszych rekolekcji eucharystycznych, niż gdybyśmy po prostu przeczytali przygotowane na ten rok eucharystyczny materiały?

Maj 2020

Czy pandemia koronawirusa jest karą za grzechy?

Pandemia koronawirusa, jak zresztą wszystkie inne niespodziewane i traumatyczne wydarzenia, domagają się jakiegoś wyjaśnienia, wpisania ich we własną historię życia, a w przypadku ludzi wierzących – także we własną wiarę i własny obraz Boga. Dlaczego przychodzi nam przeżywać tak dramatyczne wydarzenie, którego skutki – poza zdrowotnymi – świat będzie odczuwał jeszcze przez długie lata?

Już na samym początku epidemii odezwały się głosy, że to bezprecedensowe wydarzenie *jest na pewno* karą za grzechy. Zwolennicy takiego wyjaśnienia deklarowali, że oto grzechy ludzkości stały się tak wielkie, że Bóg stracił cierpliwość i zesłał bat zarazy, by skłonić ludzi do nawrócenia. Skończył się czas miłosierdzia, nadszedł czas sądu. Niewątpliwie można na poparcie takiego wyjaśnienia sięgnąć po szereg tekstów biblijnych (jak np. plagi egipskie), ale też po treści rzekomych objawień maryjnych. Jednak musi ono zmierzyć się także z szeregiem krytycznych pytań. Dlaczego taka globalna Boża kara nie nastąpiła w czasach, gdy ludzie dokonywali o wiele większych okrucieństw i grzechów, niż dzisiejsze grzechy ludzkości (np. w czasie obydwu światowych wojen)? A przede wszystkim – jak pogodzić takie wyjaśnienie z Dobrą Nowiną o Bożym miłosierdziu, którą przyniósł Jezus i która w ostatnich dziesięcioleciach niezmiennie dominowała w nauczaniu Kościoła?

Stąd też pojawiły się całkiem odmienne głosy, twierdzące, że koronawirus *na pewno nie jest* karą za grzechy, a jedynie zwykłym naturalnym wydarzeniem, klęską, jak wszystkie inne, chociaż odmienną i niespodziewaną. Bóg jest miłosierny i na pewno nie postępowałby tak ze swoimi dziećmi – twierdzą z naciskiem zwolennicy takiego poglądu. Takie opinie, ferowane także przez niektórych hierarchów kościelnych, nie są jednak wcale do końca przekonujące i także muszą zmierzyć się z wieloma poważnymi zarzutami. Co z drugą z sześciu prawd wiary, że Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze? I jaki jest obraz Boga, który stoi za takim wyjaśnieniem? Czy nie jest to obraz słabego i obojętnego Boga, który przestał panować nad światem lub się nim w ogóle nie interesuje?

Jak zatem odpowiedzieć na pytanie, czy koronawirus jest karą? Wszystko zależy zapewne od tego, jak rozumiemy słowo „kara”. Jeżeli chcielibyśmy rozumieć karę jako wyrachowaną zemstę, która jest wyrazem niepohamowanego gniewu i jest powiązana z satysfakcją karzącego z powodu cierpienia ukaranych, to rzeczywiście trudno byłoby określić pandemię koronawirusa jako Bożą karę. Takie wyjaśnienie faktycznie nie pasuje w żaden sposób do obrazu Ojca niebieskiego, który przyniósł i głosił Jezus Chrystus. Jednak karę można także rozumieć inaczej. Dobrzy rodzice uciekają się czasem do karcenia swoich dzieci, bynajmniej nie z zemsty, by dać upust swojej irytacji czy też po to, by pokazać i zaznaczyć swoją nad nimi władzę. Kara ma skłonić do myślenia, ma spowodować, że dziecko odnajdzie właściwą miarę dla swoich zachowań lub przekona się do czegoś, co w dłuższej perspektywie może okazać się kluczowe dla zachowania zdrowia oraz właściwego rozwoju, a o czym do tej pory dziecko w ogóle nie chciało słyszeć. Oczywiście ten przykład z postępowaniem rodziców wobec dzieci ma także swoje słabe strony i rodzi lawinę pytań: Czy Bóg traktuje nas jak dzieci?

Dlaczego nie czyni rozróżnień i pandemia jednakowo dotyka biednych i bogatych, świętych i grzesznych? Mimo to wskazuje, jak się zdaje, właściwy kierunek refleksji nad sensem pandemii koronawirusa.

Jedno jest pewne. Chrześcijanie wierzą w Boga, który podtrzymuje cały kosmos, a więc także życie każdego człowieka, w istnieniu. Nic nie wymyka się Jego wiedzy i władzy. Chrześcijanie nazywają to Bożą Opatrznością. Bóg jest Stwórcą praw natury i pozwala, by one powszechnie działały. Owszem, może ingerować w naturalne wydarzenia, kiedy i gdzie chce. Jednak Jego – by tak rzec – ulubioną formą ingerencji jest działalność w ukryciu, jak określa to filozofia – poprzez przyczyny wtórne. Nawet jednak, jeżeli Bóg pozwala działać się wydarzeniom, nie są one pozbawione sensu i mogą zostać wpisane w Jego plan, który ostatecznie ma zawsze na celu zbawienie ludzi. Bóg dopuszcza naturalne katastrofy i konfrontacja z nimi zawsze może prowadzić człowieka do otrzeźwienia, a to jest niezbędne, by się nie zagubić całkowicie w tym, co doczesne.

Nie ulega wątpliwości, że pandemia koronawirusa sprawiła coś w rodzaju całkowitego resetu dotychczasowych pewników. Pycha skłania człowieka nieustannie do tego, że konstruuje on coraz to nowe zamki z piasku, wmawiając sobie, że są to niezdobyte twierdze, które zapewnią bezpieczeństwo i pomyślność na całe życie. Wystarczy niewidoczny wirus, aby to złudzenie całkowicie się rozsypało. Jeżeli tylko ludzie zechcą wyciągnąć z tego wnioski, trzeba będzie uznać wiosnę 2020 roku za ważny, a nawet kluczowy czas w odzyskaniu właściwego podejścia do życia. I wtedy nie będzie problemu, by docenić ten czas jako czas Bożej „kary”.

Czerwiec 2020

Bolesna hipoteka

Reakcja opinii publicznej na śmierć czarnoskórego Georga Floyda, który zmarł wskutek interwencji policji, wstrząsnęła społeczeństwem amerykańskim. Gwałtowne protesty trwały przez niemal dwa tygodnie. Było wśród nich wiele pokojowych manifestacji, były jednak także poważne zamieszki, w czasie których palono samochody demolowano lokale i dochodziło do aktów wandalizmu. Każda tragiczna i zupełnie niepotrzebna śmierć w trakcie interwencji władz porządkowych musi wywoływać oburzenie. Nie zmienia w tym nic fakt, że Floyd w przeszłości wielokrotnie popadał w konflikty z prawem i został skazany na kilka lat więzienia

za rozbój z bronią w ręku. I trudno licytować się, czyja śmierć jest ważniejsza. Jednak dla kogoś spoza Stanów Zjednoczonych tak gwałtowna reakcja na śmierć pojedynczego człowieka, może być czymś zastanawiającym, skoro nie jest on ani pierwszym, ani niestety zapewne ostatnim obywatelem, który ginie wskutek brutalnej akcji policji.

Nie ulega wątpliwości – i to jest jeden aspekt tych wydarzeń – że tak gwałtowne emocje są jakimś dalekim echem przeszłości, ciągle jeszcze nie do końca przepracowanej przez społeczeństwo amerykańskie. Chodzi o hipotekę, jaka ciąży na Stanach Zjednoczonych, ale także na bogatych państwach Zachodu Europy. Ich dzisiejsza pomyślność nie jest jedynie owocem zaradności i pracowitości ich mieszkańców oraz wypadkową tej życiowej filozofii, która wyrosła z powiązania grecko-rzymskiej mądrości i prawa z judeochrześcijańską wizją człowieka i etyką. Dzięki nim możliwe było rozwijanie kultury oraz gromadzenie i przekazywanie z pokolenie na pokolenie wiedzy, która pozwoliła także gromadzić i przekazywać kolejnym generacjom bogactwo materialne i pomyślność społeczną. Obok tego jednak ta pomyślność świata zachodniego ma niestety swoje ciemne strony: należy do nich bezwzględna eksploatacja bogactw kolonii w Afryce, Azji i na obszarze obu Ameryk oraz zniewolenie ich rdzennych mieszkańców. Szczególnie podłym procederem był handel niewolnikami, których sprzedawano jako tanią siłę roboczą do pracy na farmach. Wprawdzie Europejczycy i osadnicy amerykańscy nie wymyślili niewolnictwa, ani handlu niewolnikami. Jednak fakt, że przez długie stulecia, aż do połowy XIX w. mógł istnieć transatlantycki handel niewolnikami, rzuca się cieniem na historię Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Mimo zniesienia tego procederu, logika wyzysku pozostaje obecna również dzisiaj. Jest to wyzysk, w ramach którego wykorzystywane są olbrzymie różnice w rozwoju ekonomicznym, zadłużenie krajów, który niegdyś były koloniami, a także chociażby w obszarze handlu bronią. Handlarze bronią potrafią zaopatrywać w nią jednocześnie zwaśnione strony, nie pozwalając na wygaśnięcie konfliktu.

Ta mroczna dziejowa hipoteka nie stanowi jednak pełnego wyjaśnienia gwałtowności i rozmiarów protestów po śmierci George’a Floyda. Nie ulega wątpliwości, że niemała część protestujących, szczególnie tych, którzy nie stronili od przemocy, kierowała się nie tylko słusznym oburzeniem z powodu działań policji. Protesty były elementem walki politycznej, jaka toczy się nie tylko w USA (w kontekście kampanii wyborczej przed wyborami prezydenta), ale również w całym obszarze euroatlantyckim. Jest to walka między dwiema odmiennymi wizjami świata i społeczeństwa. Pierwsza z nich traktuje dotychczasowe dzieje jako obciążające dziedzictwo, które musi zostać doszczętnie zburzone. Ma ono być odpowiedzialne

nie tylko za historyczne krzywdy (co jest niewątpliwie prawdą), ale także za wszystkie problemy współczesnego świata (co jest równie niewątpliwie manipulacją). Dopiero totalna de(kon)strukcja wszystkich struktur społecznych, włącznie z dziedzictwem kultury i dotychczasowej moralności, pozwoli na zbudowanie nowego wspaniałego świata równości i tolerancji, pozbawionego podziałów i zapewniająca pełnię praw człowieka każdemu, włącznie z prawami różnorodnych mniejszości.

Zwolennicy drugiego podejścia dostrzegają w dziedzictwie historii, kultury i moralności, nie tylko obciążenie, ale także istotną wartość, której nie można zaprzepaścić. Szacunek dla cywilizacyjnego dziedzictwa nie może oczywiście oznaczać ani gloryfikacji przeszłości, ani też ignorowania zła, jakie się w niej dokonało. Nie może też oznaczać upartego trwania przy tym, co dawne. Jednak postęp społeczny nie może też powodować niszczenia kulturowego dziedzictwa w imię utopii, która może się okazać jeszcze bardziej opresyjna, niż przeszłość. Budowana przez stulecia kultura i moralność, wraz z podstawowymi instytucjami, do których należy np. rodzina, opiera się na doświadczeniu pokoleń, a nie jedynie na utopijnej wizji przyszłości.

Wydarzenia wokół tragicznej śmierci Georga Floyda były zatem czymś więcej, niż tylko uzasadnionym sprzeciwem wobec rasizmu. Stały się nową odsłoną sporu, który obejmuje coraz to nowe obszary życia społecznego. Od jego ostatecznego wyniku będzie zależał los nie tylko Ameryki, ale także Europy.

Lipiec 2020

„Osoby LGBT” i inne manipulacje

Każdorazowe kampanie przedwyborcze wzbudzają emocje, które, jak wiosenne burze, z wielką gwałtownością przetaczają się przez media i debatę społeczną. Sytuacja mogłaby więc zostać uznana za typową, ale mimo to poziom emocji, jaki osiągnęła debata publiczna w związku ze stanowiskiem kandydatów w wyborach prezydenckich 2020 wobec społeczności LGBT, może zaskakiwać. Wszyscy, którzy w ostatnich miesiącach odważyli się krytycznie ocenić roszczenia społeczności LGBT – od arcybiskupa Marka Jędraszewskiego, poprzez posła Jacka Żalka, aż po prezydenta Andrzeja Dudę – zostali oskarżeni o odmawianie człowieczeństwa gejom lesbijkom, bi- i transseksualistom. Powodem były użyte przez nich wyrażenia typu: „LGBT to nie ludzie, a ideologia”. Reakcją na tego rodzaju wypowiedzi była fala oburzenia i

zarzut „odczłowieczenia”, jakby ich autorzy rzeczywiście chcieli zanegować człowieczeństwo gejów czy lesbijek. Do głosów oburzenia dołączyły nawet gremia naukowe, np. Komitet ds. Bioetyki przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, który opublikował specjalne stanowisko w tej sprawie, przestrzegając przed „dehumanizacją osób LGBT”. Można oczywiście zadać krytyczne pytanie, czy dobór słów w wypowiedziach krytyków LGBT był odpowiedni, a przede wszystkim przemyślany i zrozumiały dla odbiorców, tak samo jednak można krytycznie zapytać, czy pozwolono wypowiadającym się w ten sposób wyjaśnić, co mieli na myśli.

Niezależnie od stanowiska wobec roszczeń środowisk LGBT, warto jednak dostrzec jedną dosyć istotną cechę tej najnowszej odsłony debaty publicznej. Nie jest ona już żadną miarą debatą merytoryczną, ale stała się formą manipulacji medialnej, obliczonej na wzbudzanie skrajnych emocji. Manipulacja ta wiąże się z czymś, co bywa określane jako tworzenie „tożsamości grupowej”. Polega ona na tak ścisłej identyfikacji pojedynczej osoby z jakąś społecznością czy ideą, że każda negatywna opinia na temat tejże społeczności czy idei, staje się osobistą zniewagą dla pojedynczej osoby. W tym wypadku wyraża się ona w zbitce słownej „osoby LGBT” lub też w autodeklaracji „Jestem LGBT”. Gdyby chcieć rozumieć takie wyrażenia dosłownie, to nie mają one żadnego sensu. Trudno zakładać, że pojedyncza osoba jest jednocześnie gejem, lesbijką, osobą biseksualną oraz transgenderową, z całym wachlarzem płci kulturowych.

Absurdalność wyrażenia „osoba LGBT” widać jeszcze wyraźniej wtedy, gdy odniesie się je do innych społeczności. Jaka byłaby reakcja, gdyby ktoś np. zadeklarował: „Jestem Kościół katolicki” i dlatego każda krytyka Kościoła katolickiego, jego dogmatów, wierzeń i postulatów społecznych, jest bezpośrednim atakiem w moją godność osobistą i wyrazem nienawiści do mnie. Nikt o zdrowych zmysłach nie zaakceptowałby takiej argumentacji! Nikt nie jest „osobą Kościół katolicki”, tylko członkiem wspólnoty wiary o nazwie Kościół katolicki lub po prostu katolikiem. Krytyka Kościoła, jego struktur i jego nauki może być rzeczowa i uzasadniona lub niesprawiedliwa i krzywdząca, może też być zrodzona z życzliwości i troski lub też z wrogości i nienawiści, ale nigdy nie oznacza automatycznie nienawiści do poszczególnych katolików. Dlaczego w ten sam sposób nie wolno wypowiadać się o środowisku LGBT? LGBT to przecież społeczność, środowisko, grupa lobbystyczna o światowym zasięgu, a jednocześnie określona wizja ludzkiej natury, ze szczególnym uwzględnieniem ludzkiej seksualności. Ze względu na swoją całościową wizję świata, agresywną propagandę i sposób działania tej społeczności z wykorzystaniem organizacji międzynarodowych, akronim LGBT może być przyporządkowany określonej ideologii. Wobec roszczeń kulturowych i prawnych tego środowiska wolno zgłaszać

poważne zastrzeżenia wobec tej ideologii, szczególnie wobec prób redefinicji małżeństwa i adopcji dzieci w ramach związków jedнопłciowych oraz projektów wychowania seksualnego według założeń genderystycznych. Taka krytyka nie oznacza nienawiści. Szacunek wobec kogokolwiek nie musi przecież oznaczać obowiązkowego podzielenia jego poglądów i politycznych roszczeń wobec państwa i społeczeństwa. Można szanować człowieka, a jednocześnie zdecydowanie nie podzielać jego poglądów i wyrażać publicznie opinie, które im się sprzeciwiają.

Nietrudno dostrzec, że odsądzanie od czci i wiary każdego, kto ośmieli się krytykować społeczność LGBT, ma na celu doprowadzenie do sytuacji zastraszenia, tak by w przestrzeni publicznej wszelkie głosy krytyczne umilkły, a społeczność LGBT mogła doprowadzić do pełnej implementacji swoich postulatów, nie tylko na płaszczyźnie prawa, ale także kultury i moralności.

Na takie manipulacje medialne związane z tłumieniem wolności wypowiedzi i wolności sumienia nie ma i nie może być zgody.

Sierpień 2020

Czy Kościół katolicki anuluje sakramentalne małżeństwa?

Po powtórny kościelny ślubie Jacka Kurskiego, prezesa zarządu Telewizji Polskiej, pojawiło się wiele nieprzychylnych komentarzy wobec Kościoła. Pisano najczęściej o „anulowaniu” poprzedniego kościelnie zawartego małżeństwa lub wręcz u „rozwodzie kościelnym” i w tym kontekście o skorumpowaniu sądów kościelnych będących znakiem upadku Kościoła katolickiego. Dla wielu postronnych czytelników serwisów informacyjnych nasuwał się jeden logiczny wniosek: Kościół katolicki dopuszcza rozwody, wbrew deklaracjom, że sakramentalne małżeństwo jest nierozdzielne. Dodatkowo oczywiście nie brakowało komentarzy, że jest to możliwe jedynie dla wybranych, w tym wypadku – prawicowych polityków związanych z Kościołem, bądź też dla bogatych, za spore pieniądze. Takie komentarze świadczą raczej o ignorancji ich autorów, niż o faktycznym stanie rzeczy. Oczywiście, jak we wszystkich dziedzinach życia, gdzie wchodzi w grę ludzki osąd, tak też i tu może dojść do nadużyć. Jednak od strony prawa kanonicznego orzeczenie nieważności sakramentalnego małżeństwa jest praktyką stosowaną od dawna i wynikającą z teologii i

prawa kościelnego odnośnie do tego sakramentu. Warto zatem przypomnieć główne elementy nauki Kościoła w tej dziedzinie.

Otóż zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego z 1983 r. małżeństwo ważnie zawarte i dopełnione nie może być rozwiązane przez żaden autorytet, ani cywilny, ani kościelny (KPK, kanon 1144). Wobec takiego małżeństwa ani państwo, ani Kościół nie mają już po prostu żadnej władzy, nawet gdyby biskup lub papież chcieli je rozwiązać. Rozwiązuje je jedynie śmierć któregoś z małżonków. Właśnie ze względu na tak poważne skutki Kościół przez wieki starał się doprecyzować warunki zawarcia takiego nierozterwalnego małżeństwa. Istotne są tu dwa powyższe stwierdzenia: pierwszym jest ważne zawarcie małżeństwa, drugim natomiast jego dopełnienie.

Stosunkowo łatwiejsze, chociaż w praktyce rzadkie przypadki dotyczą drugiej z tych dwóch kwestii: dopełnienia małżeństwa. Chodzi o pełny akt seksualny dokonany przez małżonków po ważnie zawartym ślubie kościelnym, który niejako przypieczętowuje zgodę obydwójga na małżeństwo i czyni je nierozterwalnym. W rzadkich przypadkach może się zdarzyć, że ważne zawarte małżeństwo nie zostanie dopełnione (np. małżonkowie pokłócili się na przyjęciu weselnym tak poważnie, że żona w ogóle nie zamieszkała z mężem i odeszła od niego). W takich sytuacjach Kościół może rzeczywiście unieważnić takie małżeństwo.

Ogromna większość procesów kanonicznych dotyczy jednak pierwszej z powyższych kwestii: ważnego zawarcia małżeństwa. Otóż mogło się zdarzyć, że np. jedna ze stron zataiła tak bardzo istotne okoliczności (np. poważną chorobę psychiczną, uzależnienie, posiadanie dzieci z poprzednich związków i inne), że w momencie ich ujawnienia druga strona na pewno nie zgodziłaby się na zawarcie małżeństwa. Chodzi oczywiście nie o same te okoliczności, ale o ich *zatajenie*, które jest po prostu poważnym oszustwem. Ono sprawiło, że oszukana strona była błędnie przekonana, iż bierze sobie za męża/żonę osobę o odpowiednich cechach charakteru i dopiero po ślubie dowiedziała się, że została świadomie wprowadzona w błąd. Mogło się też zdarzyć, że jedna ze stron została zmuszona do zawarcia małżeństwa (poprzez szantaż, nacisk ze strony rodziny, niemożliwy do przewyciężenia lęk) i nie uczyniła tego dobrowolnie. Możliwe jest też, że jedna ze stron skłamała, potwierdzając wobec duszpasterza wolę dotrzymania przysięgi małżeńskiej do końca swojego życia bądź też wolę przyjęcia potomstwa. Z racji tak poważnych nieprawidłowości sakramentalne małżeństwo nie zostało w ogóle zawarte, mimo że odbyła się cała ceremonia w kościele. Pozostaje ono nieważne, niezależnie od tego, jak długo para po takim pozornym ślubie kościelnym żyła wspólnie i czy ewentualnie doczekała się potomstwa czy też nie. Kiedy po latach jedna ze stron zwróci się do

sądu kościelnego z prośbą o zbadanie, czy małżeństwo zostało ważnie zawarte, trybunał kościelne przesłuchuje najpierw obydwójce rzekomych małżonków (jeśli to jest oczywiście możliwe, bo jedna ze stron może np. odmówić złożenia zeznań) oraz wskazanych świadków, którzy mogą stwierdzić zaistnienie wspomnianych wyżej, poważnych okoliczności. Jeżeli udaje się je bez wątpliwości potwierdzić, wtedy stwierdza się nieważność małżeństwa, tzn. orzeka się, że nie zostało ono ważnie zawarte. Kościół zatem nie udziela rozwodu ani nie anuluje takiego małżeństwa, bo po prostu nie ma czego rozwodzić, ani anulować: sakramentalne małżeństwo nie zostało w ogóle zawarte.

Sprawa poprzedniego małżeństwa Jacka Kurskiego była zapewne jedną z dwustu, trzystu spraw małżeńskich, jakie co roku trafiają do każdego sądu biskupiego. W części z nich orzeczona zostaje nieważność małżeństw, wobec innych stwierdza się, że dowody są niewystarczające, w związku z czym trzeba nadal uważać takie małżeństwa za ważne. Czy pierwsze kościelne małżeństwo Kurskiego było zawarte nieważnie? Tak orzekł sąd kościelny. Sądzę, że oceniając tę decyzję warto wykonać pewien eksperyment myślowy. Otóż założmy, że po zbadaniu dowodów poprzednie małżeństwo kościelne Jacka Kurskiego w ewidentny sposób okazało się być nieważne. Co miał zrobić sędzia kościelny? Czy miał, obawiając się opinii publicznej i nieprzychylnych komentarzy, – wbrew ewidentnym faktom – odmówić orzeczenia nieważności tego małżeństwa? Oczywiście nie wiem, czy tak rzeczywiście było. Ale właśnie dlatego sądzę, że trzeba pozostawić tę sprawę odpowiedzialności członków kościelnego trybunału przed ich własnymi sumieniami, a przede wszystkim – przed trybunałem Boga, w którego imieniu wydali ten wyrok.

Wrzesień 2020

Kościół – krajobraz po COVIDzie

Oficjalnie jeszcze nie ogłoszono końca pandemii i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miało to nastąpić. Pojawiła się jednak pewna stabilizacja, pewna nowa równowaga, związana po prostu z przyzwyczajeniem społeczeństw do tej niecodziennej sytuacji. Stąd można pokusić się o wstępną analizę wpływu pandemii na życie i kondycję Kościoła. Nie chodzi oczywiście o jakąś analizę szczegółową i dogłębną, ale o garść obserwacji dotyczących pewnych aspektów tego wyzwania, przed jakim stanął Kościół.

Globalnie rzecz biorąc, Kościół okazał się być wspólnotą nie tylko ludzi wierzących, ale także lojalnych obywateli, którzy podporządkowali się zarządzeniom sanitarnym. Kompletnie zaskoczenie nową sytuacją, szybkość rozwoju wydarzeń oraz dramatyczne doniesienia i obrazy z północnych Włoch, gdzie w pierwszej fazie pandemii zmarło wiele osób, sprawiły, że wierzący zasadniczo nie kontestowali zarządzeń władz cywilnych. Podporządkowali się im także biskupi i księża, wydając odpowiednie wytyczne i przestrzegając ich w duszpasterstwie. Ta generalna ocena musi oczywiście uwzględniać różnice między sytuacją poszczególnych krajów. W wielu krajach obostrzenia dotyczące celebracji kościelnych były porównywalne z obostrzeniami dotyczącymi innych miejsc publicznych spotkań. Ale były też kraje, w których skala ograniczeń dotyczących aktywności Kościoła była znacznie szersza i trwała znacznie dłużej, niż obostrzenia, które dotyczyły sklepów, restauracji, fitness klubów, kin, teatrów i podobnych miejsc publicznych zgromadzeń.

Okazuje się, że w niektórych regionach świata (np. w niektórych częściach Australii) do dzisiaj zakazane jest celebrowanie Eucharystii, chociaż inne miejsca użyteczności publicznej – przynajmniej do jakiegoś stopnia – zostały już dawno ponownie otwarte. Porównując sytuację Kościoła w różnych częściach świata, trzeba stwierdzić, że chociaż teza o celowym wywołaniu pandemii przez jakieś siły pragnące przejąć kontrolę nad światem, wydaje się typową teorią spiskową, to jednak nie ulega wątpliwości, że sytuacja ta została wykorzystana przez niektóre rządy do ograniczenia działalności duszpasterskiej Kościoła.

Trzeba przyznać, że dla wielu głęboko wierzących katolików wielotygodniowy post eucharystyczny, smutne świętowanie Paschy przed telewizorem albo też spowodowana środkami ostrożności zmiana przyzwyczajęń w zakresie sposobu przyjmowania Eucharystii, stanowiły nie lada wezwanie. Wymusiły w pewnym sensie pogłębioną refleksję nad tym, co w praktykowaniu wiary jest najważniejsze, a co drugorzędne. Jednak cierpienie wywołane pandemicznymi ograniczeniami nie okazuje się być z perspektywy czasu największym problemem. Gdyby obostrzenia sanitarne jako takie miały zniszczyć wiarę katolików, trzeba byłoby stwierdzić, że nie była ona nigdy zbyt głęboka.

Tym, co wydaje się być daleko większym wyzwaniem, jest pogłębienie rozłamu w łonie wspólnoty katolickiej, widoczne także tu i ówdzie w Polsce. Czas pandemii okazał się czasem wzmożonej aktywności w Internecie, zarówno osób, które umieszczały w nim różne materiały, jak i tych, które z nich korzystały. Obok wielu interesujących i wartościowych treści religijnych można było zaobserwować zalew wypowiedzi różnych internetowych kaznodziejów, analityków i samozwańczych autorytetów, którzy nie wahali się oskarżać Kościół o porzucenie

wiary, zbytnią uległość wobec władzy, a nawet o sprzyjanie rzekomo świętokradczym praktykom w zakresie Eucharystii. Jak twierdzą internetowi „teologowie”, poddanie się przez biskupów państwowym obostrzeniom było jednoznaczne z aktem niewiary wiary w moc Chrystusa obecnego w Najświętszym Sakramencie. Przy okazji pandemicznego zamętu wiele głosów, które wcześniej były jednoznacznie rozpoznawane jako niekatolickie (np. te ze środowiska lefebrystowskiego), zyskało status proroków broniących ortodoksyjnej wiary, natomiast szereg wypowiedzi biskupów, będących prawowitymi pasterzami diecezji, było przyjmowanych z wielką nieufnością.

Najważniejszym zadaniem Kościoła w obecnej sytuacji, która jest jeszcze daleka od normalności, wydaje się więc być usilna próba odzyskania jedności. Nie może przy tym chodzić jedynie o jedność formalną, zewnętrzną, gdyż prawdziwa jedność nie powstaje przez dyscyplinowanie członków wspólnoty. Powstaje ona przez pogłębienie wiary i wynikających z niej konsekwencji dla codziennego życia. Szczególnie chodzi o katolicką naukę o Eucharystii, jak też o katolickie stanowisko dotyczące współdziałania Kościoła z władzą świecką. Jak w wielu kryzysowych sytuacjach, odpowiedź Kościoła nie może się sprowadzać do narzekania lub też nawoływania do jedności, ale musi się skoncentrować na pogłębionej ewangelizacji, by wierzący mogli na nowo uświadomić sobie konkretne implikacje wynikające z ich katolickiej wiary.

Październik 2020

Czy różaniec to tylko klepanie paciorków?

Dla wielu katolików październikowe wieczory od razu kojarzą się z odmawianiem różańca. Ta stara tradycja ma zapewne tyle samo zwolenników, co przeciwników. Ci ostatni widzą w niej wyraz bezmyślnej pobożności, której celem jest długie i często bezrefleksyjne recytowanie słów. Ma to być rzekomo wyraz ludowej pobożności, odpowiedniej dla ludzi niewykształconych. Taka forma modlitwy bywa kontrastowana z modlitwą spontaniczną, zwracaniem się do Boga „własnymi słowami”, która miałaby świadczyć o dojrzałości wiary i była formą stawania przed Bogiem ze świadomością własnej wartości. Cóż, kiedy podział na zwolenników i przeciwników modlitwy różańcowej wcale nie pokrywa się z podziałem na świadomych i wykształconych z jednej oraz prostych i niewykształconych z drugiej strony. Różaniec towarzyszył od zawsze ludziom różnych stanów i zawodów, świeckim i duchownym,

żonatym i samotnym, dorosłym i dzieciom, zarówno zwykłym robotnikom, jak i profesorom uniwersyteckim.

W różańcu zbiegają się doświadczenie religijne wierzących w Boga, które sięgają nawet poza granice chrześcijańskiej wiary. Powtarzanie świętych wersów nie jest tu celem samym w sobie, nie jest nim też uważne śledzenie każdego wypowiedzanego słowa. Chociaż ważny jest rytm modlitwy, to również on jest jedynie środkiem do celu, jakim jest rozważanie. Różaniec to modlitwa medytacyjna. Powtarzane słowa wytwarzają we wnętrzu modlącej się osoby prawdziwą przestrzeń spotkania z Bogiem. Ta przestrzeń w przypadku różańca nie jest pusta. Jest wypełniana rozważaniem dzieła Odkupienia dokonanego przez Chrystusa. Dlatego na początku każdej dziesiątki podaje się treść kolejnej „tajemnicy”, czyli pewnego aspektu życia Chrystusa lub Maryi, która w szczególny sposób jest związana z dziełem Odkupienia. Modlący się przywołuje po prostu biblijne wydarzenie lub tajemnice wiary i stara się dostrzec, w jaki sposób odnosi się ona do jego osobistego losu tu i teraz, do jego wewnętrznej kondycji, do jego wiary. Stara się także wejść w postawę wewnętrzną Jezusa, Maryi lub innych osób, które są powiązane z danym wydarzeniem. Nic nie przeszkadza też, aby odmawianie różańca było poprzedzone czytaniem jakiegoś innego fragmentu Pisma św. i stało się niejako kontynuacją medytacji biblijnej.

Przy takim nastawieniu modlący się przestaje zwracać uwagę na poszczególne wypowiedane słowa. Są one mu tak doskonale znane, że powtarza je bez wysiłku, niemalże automatycznie. Ale ten automatyzm staje się jedynie wtedy bezmyślnym klepaniem paciorków, jeśli modlący się błędzi wyobraźnią po innych, nie związanych z Bogiem treściach, kiedy nie stara się skupić na tajemnicach wiary. Gdyby tak było, wtedy różaniec faktycznie przestałby mieć sens i stał się jedynie zewnętrzną, pozorną modlitwą, bez większej wartości. Oczywiście każdy, kto kocha różaniec i odmawia go, wie, jak szybko pojawiają się w czasie modlitwy myśli związane z bieżącymi pracami, konfliktami, planami, itp. Ale takie rozproszenia, których się nie prowokuje i nie chce, uczą jedynie pokory i nie pomniejszają wartości tej wspaniałej modlitwy.

Szczególną formą modlitwy różańcowej jest tzw. Nowenna Pompejańska, która cieszy się w Polsce w ostatnich latach dosyć dużą popularnością. Można do niej odnieść wszystko to, co zostało powyżej powiedziane o samej modlitwie różańcowej. Wartość Nowenny Pompejańskiej nie polega na samym odmówieniu trzech części różańca: radosnej, bolesnej i chwalebnej, ale na codziennym poświęceniu w ciągu 54 kolejnych dni większej ilości czasu, niż zwykle na przebywanie w Bożej obecności i rozważaniu Jego słów i tajemnic wiary związanych

z dziełem odkupienia. Jeżeli ktoś stara się tak odmawiać Nowennę Pompejańską, to jego życie duchowe i relacja z Bogiem zostaną na pewno odnowione. Niewiele sensu ma odkładanie modlitwy na koniec dnia i pospieszne odmawianie wszystkich części na raz. Warto raczej zaplanować dzień tak, by rzeczywiście wygospodarować z niego czas na poszczególne części i by na koniec dnia pozostał tylko jakiś fragment. Wprawdzie Nowenna Pompejańska związana jest z obietnicą wysłuchania i dlatego ludzie podejmują tę modlitwę modląc się w konkretnych intencjach, ale nie może tu wkraść się jakikolwiek automatyzm. Katolik, który podejmuje Nowennę Pompejańską, modląc się żarliwie w jakiejś intencji, zawsze powinien to czynić ze świadomością, że sposób i czas spełnienia przez Boga ludzkich prośb zależy właśnie do Niego i że to nie człowiek pisze scenariusz wydarzeń. Nowenna Pompejańska, ale też każda inna forma modlitwy różańcowej i jakiegokolwiek innej modlitwy, zawsze musi być modlitwą, w której modlący się przyjmuje za swoją postawę Jezusa w Ogrójcu: „Nie moja, ale Twoja, Ojczy, wola niech się stanie” (Łk 22, 42). Modlący się może być pewien, że Jego modlitwa jest słyszana i nigdy nie pozostaje daremna, również wtedy, gdy Bóg inaczej decyduje, niż człowiek się spodziewa.

Warto w czasie tegorocznego miesiąca października na nowo sięgnąć po różaniec. Gdy człowiek nauczy się nim modlić, staje się on niezastąpionym towarzyszem drogi w każdych, a szczególnie w tych najtrudniejszych chwilach życia. Wchodzenie w przestrzeń, jaką otwiera dla nas odmawianie różańca, uspokaja, wycisza i odnawia w sercu głębokie przekonanie, że Bóg nigdy o mnie nie zapomina, nawet w środku mojego życiowego chaosu.

Listopad 2020

Zdziczenie sumień

Trybunał Konstytucyjny w pełnym składzie orzekł w dniu 22 października 2020 r. w, że dotychczasowe brzmienie ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, dopuszczające aborcję w przypadku wad letalnych płodu, jest niezgodne z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej. Zważywszy polaryzację polskiej sceny politycznej i aktywność środowisk proaborcyjnych w ostatnim czasie, protesty przeciw temu wyrokowi były nieuniknione i zrozumiałe. Jednak to, co wydarzyło się trzy dni po jego ogłoszeniu, przejdzie do historii. Przypisywane Leninowi powiedzenie: „Jeśli cel nie uświęca środków, to co je uświęca?”, zostało przez aktywistów proaborcyjnych, ale także przez

wielu postronnych ludzi, wprowadzone w czyn. Niszczenie fasad kościołów przez wypisywanie na nich proaborcyjnych i antyklerykalnych haseł, profanowanie świątyń, czasami nawet zakłócanie nabożeństw, wulgarne nawoływanie do otwartej przemocy („Je....ć kler!”), profanacja świętych wizerunków (grafika krzyża z ukrzyżowaną ciężarną kobietą) – trudno wyrazić skalę przemocy i wulgarności, jaka wylała się na ulice, a z nich – do świątyń. Środowiska, które zazwyczaj szczycą się umiłowaniem tolerancji i zarzucają swoim przeciwnikom mowę nienawiści, pokazały, na czym polega tolerancja, szacunek dla innych poglądów i mowa miłości. Fakt, że wielu wiernych świeckich (a czasami także policja) musiało bronić dostępu do świątyń tym, którzy chcieli je sprofanować, to wydarzenia, które w najnowszej historii Polski nie miały, jak dotąd, miejsca. Jedynie w kontekście wojennych i powojennych totalitaryzmów zdarzały się napaści na świątynie. Wstrząsające jest to, że lista sprawców takich aktów nie jest jeszcze zamknięta. Właśnie te ataki na świątynie, święte wizerunki i sakralne pomniki pozostaną w historii jako smutne znaki rozpoznawcze protestu 2020.

Trudno wobec takiej fali przemocy i zdziczenia spokojnie argumentować, jednak komuś, kto nie chce reagować przemocą na przemoc, nie pozostaje nic innego, jak tylko spokojne ważenie racji. Wiele osób wzięło udział w protestach pod hasłem ochrony kobiet, szczególnie w sytuacji, gdy zostają skonfrontowane z obciążającą diagnozą prenatalną. Sytuacja tych kobiet (ale nierzadko także mężczyzn – ojców upośledzonych dzieci!) rzeczywiście musi być wzięta pod uwagę – zarówno przez polityków, jak i przez społeczeństwo oraz Kościół. Brak zarówno instytucjonalnego, jak i społecznego wsparcia byłby tutaj ciężkim grzechem zaniedbania. Czy jednak jest to jedyne pytanie, jakie w tej sprawie musi być postawione? Wydaje się, że nikt już nie zważa na pytanie o wiele bardziej fundamentalne: co znajduje się na przeciwległej szali wagi? Czy dziecko w łonie matki jest człowiekiem, czy też nie? A jeżeli nie miałoby nim być, to jakie są racjonalne przesłanki przemawiające za takim poglądem? Zwolennicy aborcji jak ognia unikają dyskusji na ten temat, zasłaniając się domniemanym niezbywalnym prawem matki do dokonania wyboru. Jednak prawodawca, który pozostawiłby ją w takiej, rzekomo neutralnej, przestrzeni, w praktyce postanowiłby, że pewnym ludziom w pewnych sytuacjach wolno w majestacie prawa zadecydować o zabiciu innych ludzi. Z brzemieniem takiej decyzji (i jej późniejszymi skutkami) kobieta zostałaby pozostawiona sama. To ona musiałaby ponosić wyłączną odpowiedzialność za decyzję o uśmierceniu dziecka. Trudno uznać prawomocność takiego rozwiązania. Żaden człowiek nie może mieć legalnego prawa do odebrania życia drugiemu człowiekowi ze względu na jego

upośledzenie. Przed-urodzeniowej selekcji nie da się pogodzić z post-urodzeniową solidarnością. Jeżeli upośledzone dzieci w łonach matek mogą być eliminowane właśnie ze względu na swoje upośledzenie, to upośledzeni dorośli będą siebie samych postrzegali jako ci, którzy nie w porę zostali wyeliminowani, których właściwie nie powinno w ogóle być wśród żywych.

Jest jeszcze jeden aspekt tej sytuacji, niezwykle smutny, szczególnie dla duszpasterza. Uczestnicy i uczestniczki demonstracji to jedynie w mniejszości proaborcyjni aktywiści. Wielu innych uczestników to przeciwnicy rządu lub też osoby, które chcą przez to wyrazić solidarność z kobietami. Niestety, wielu z nich, jeżeli nie większość, to osoby deklarujące się jako wierzące i praktykujące. Czy osoby te naprawdę nie zdają sobie sprawy z tego, że – niezależnie od ich własnych motywacji – w efekcie przykładają rękę do inicjatywy proaborcyjnej, a więc występują przeciwko jednej z fundamentalnych zasad moralnych chrześcijańskiej wiary: prawa do życia każdego człowieka? Nie zmieniają tu nic deklaracje w stylu: „Ja bym nie abortowała dziecka, opowiadam się jedynie za prawem do wolnego wyboru kobiety”. Organizatorzy demonstracji bardzo jasno wyrażają swoje zamiary. Dla nich nie wchodzi w grę żaden kompromis aborcyjny. Deklarują, że istnieje coś takiego jak prawo do aborcji, które wchodzi w skład praw człowieka i dlatego aborcja musi zostać zalegalizowana bez ograniczeń. Czy rzeczywiście osoby wierzące, biorące udział w marszach, chcą popierać stanowisko tak jaskrawo sprzeczne z katolicką wiarą? W ostatecznym rozrachunku to ich obecność na manifestacjach będzie argumentem przeciw życiu nienarodzonych.

Warto przypomnieć zdanie wypowiedziane przez św. Matkę Teresę z Kalkuty w 1994 r. w obecności amerykańskich polityków: „Aborcja w największy sposób niszczy pokój, ponieważ niszczy życie dziecka, ale także niszczy sumienie matki. [...]. Jeśli zgodzimy się, iż matka może zabić nawet własne dziecko, jak możemy mówić innym ludziom, aby nie zabijali jedni drugich?” Wypowiedź ta, gdyby została wypowiedziana dzisiaj w samym środku protestów, pewnie zostałaby okrzyknięta mową nienawiści. Niestety wielu jest ludzi, także wierzących, którzy sądzą, że osoba, która się tak wypowiada, stoi po niewłaściwej stronie historii...

Listopad - 2 2020

Katolicy pod sztandarem czerwonej błyskawicy

Ten tekst ma konkretnych adresatów. Chcę się zwrócić do tych osób, które deklarują się jako wierzące i które wzięły udział w protestach po ogłoszenia wyroku Trybunału Konstytucyjnego w kwestii aborcji eugenicznej. Wiem, że jako katolicki ksiądz jestem już na wstępie na spalonej pozycji. Zarzuty są miazdzące: od tych, że jako mężczyzna nie mam zielonego pojęcia o rodzeniu i nigdy nie byłem w sytuacji kobiety, która dowiaduje się o poczęciu chorego dziecka, aż do tych, że jako katolicki ksiądz, a więc celibatariusz, nie powinienem w ogóle zabierać głosu na te tematy, a dodatkowo powinienem milczeć jako przedstawiciel środowiska zaangażowanego w politykę, a do tego jeszcze naznaczonego odrażającym grzechem pedofilii. Przyjmuję te zarzuty z pokorą i proszę, aby je na chwilę odsunąć na bok. Wiem, że ich ostrość wynika, przynajmniej częściowo, z rozpalonych do czerwoności emocji. Jednak kiedyś te emocje opadną i trzeba będzie wpisać to, co się wydarzyło w swoją wiarę, jeśli ktoś będzie chciał nadal przyznawać się do Chrystusa.

Pragnę podkreślić – jakkolwiek będą zinterpretowane moje słowa – że w żadnym wypadku nie lekceważę cierpienia i lęku kobiet, które dowiadują się o niepełnosprawności dzieci, których oczekują. Z pewnością obecna pomoc i wsparcie dla nich są niewystarczające i taka sytuacja wymaga radykalnej poprawy.

Świadom tych wszystkich przeszkód i trudności w podjęciu przeze mnie rozmowy na ten temat, mimo wszystko proszę, aby katolicy, którzy maszerowali pod sztandarem czerwonej błyskawicy, a którzy są moimi Siostrami i Braćmi w Chrystusie, rozważyli kilka pytań, które chciałbym zadać:

1) Zazwyczaj katoliczki deklarują z naciskiem, że same nigdy nie dokonałyby aborcji dziecka, nawet gdyby było upośledzone. Opowiadają się jedynie za prawem wyboru dla innych kobiet, które nie podzielają ich światopoglądu. Jednak, **biorąc udział w protestach pod znakiem czerwonej błyskawicy, jaki sygnał wysyła wierząca katoliczka swoim (już urodzonym lub przyszłym) dzieciom?** Czyż nie mówi im tym gestem: „Kochana córeczko, kochany synku, nigdy nie pozwoliłabym zrobić ci krzywdy, bo kocham cię nad życie! Nigdy też nie dokonałabym aborcji, nawet, gdybym dowiedziała się w czasie ciąży o twojej ciężkiej chorobie. Ale gdybyście byli dziećmi w łonie innej mamy i bylibyście poważnie chorzy, i ta inna mama zdecydowałaby, by was zabić, nie sprzeciwiłabym się temu. Pozwoliłabym na to, bo szanuję jej prawo do wolnego wyboru, do tego czy chciałaby was mieć, czy nie”.

2) Drugie pytanie jest jeszcze poważniejsze: **Biorąc udział w protestach pod znakiem czerwonej błyskawicy, do jakiego prawa dotyczącego przerywania ciąży przykładą się rękę?** Organizatorom tego protestu nie chodzi o żaden aborcyjny kompromis, ale o prawo do

dokonania aborcji bez ograniczeń rozumiane jako prawo człowieka. Nikt tego nie ukrywa i takie są też wznoszone hasła i transparenty. W tym miejscu aktywistom spod czerwonej błyskawicy nie sposób odmówić konsekwencji. Powodem uznania prawa do aborcji eugenicznej jest przecież – niewątpliwe i doprawdy głębokie! – cierpienie kobiety. Kto jednak zdoła zmierzyć wielkość cierpienia? Czy nie może być tak, że cierpienie i lęk nastolatki, która zaszła w ciążę i nosi w swoim łonie *zdrowe* dziecko, którego jednak nie chce, jest większe, niż cierpienie doświadczonej matki, której kolejne dziecko jest zagrożone ciężkim kalectwem? Dlaczego odmówić jej wolnego wyboru? Czyż nie byłoby to niesprawiedliwe? Biorąc udział w marszach środowisk proaborcyjnych, wierzący katolik – chcąc czy nie chcąc i niezależnie od tego, jakie są jego osobiste motywacje – w pewnym sensie zmienia front: przestaje już być zwolennikiem postawy przyjaznej życiu („pro life”), a staje się zwolennikiem postawy akcentującej prawo wyboru między życiem a śmiercią („pro choice”). Oznacza to ostry konflikt z jednym z fundamentalnych przekonań moralnych wiary katolickiej, jakim jest szacunek dla życia każdego niewinnego człowieka od pierwszej do ostatniej chwili jego życia.

3) Trzecie pytanie dotyczy wpływu tych wydarzeń na osoby, które na fali emocji zupełnie nie są brane pod uwagę. **Biorąc udział w protestach pod sztandarem czerwonej błyskawicy, jaki sygnał wysyła osoba wierząca ludziom niepełnosprawnym, dotkniętym schorzeniami, które zgodnie z obecnym prawem mogłyby stanowić podstawę ich aborcji?** Jeżeli to właśnie choroba lub ciężkie upośledzenie ma być powodem aborcji, to już urodzeni z ciężkimi upośledzeniami i poważnymi chorobami, których rodzice nie abortowali, na dłuższą metę będą nosili piętno nie w porę wyeliminowanych, a ich matki – miano osób, które decydując się na ich urodzenie, fundują całemu społeczeństwu poważne obciążenie. Mimo gwałtownego sprzeciwu, jaki wzbudza takie stwierdzenie, nie da się po prostu pogodzić przed-urodzeniowej selekcji z post-urodzeniową solidarnością.

Nie mam zamiaru oskarżać nikogo. Sądzę jedynie, że czynne poparcie protestów pod znakiem czerwonej błyskawicy przez katolików jest czymś więcej, niż tylko gestem solidarności z kobietami, znajdującymi się w trudnej sytuacji. Warto zapytać do czego się takie osoby – może bezwiednie – przyczyniają. Świat, który na naszych oczach jest konstruowany – niestety z czynnym poparciem wielu katolików – nie będzie światem szacunku i tolerancji dla wszystkich. Na pewno nie dla najsłabszych.

Czy Kościołowi rzeczywiście nie wolno mieszać się do polityki?

W czasie jesiennych marszów przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tzw. aborcji eugenicznej niektórzy duchowni wypowiedzieli się w ostrym tonie przeciwko angażowaniu się Kościoła w politykę. Jak stwierdzili np. sygnatariusze Apelu Zwykłych Księży, Ewangelii nie wolno mieszać z prawem państwowym. Jeszcze inni podkreślali, że polityka jest brudna, twierdząc, że trzeba oddzielić ją całkowicie od Ewangelii. Trzeba, jak można było usłyszeć, „skończyć z używaniem religii do celów politycznych i porzucić przekonanie, że rozstrzygnięcia prawne mogą przynieść trwałą zmianę wrażliwości sumień, czego my pragniemy, głosząc Ewangelię”. Postulat ten, gdyby został wypowiedziany w innym czasie i kontekście, byłby chyba zrozumiały dla wszystkich. Jednak na fali protestów przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego nabrał on nowego znaczenia, z którym nie sposób nie polemizować.

Jest oczywiste, że księża nie powinni popierać z ambon konkretnych partii i próbować sugerować wiernym głosowanie na konkretnych kandydatów w imię wiary. Taka aktywność byłaby zawsze poważnym nadużyciem ambony dla celów politycznych. Nie może być też mowy o prawnym przymuszaniu kogokolwiek do przyjęcia prawd wiary katolickiej. Czy jednak już samo poruszenie przed księżą w ramach homilii jakiejś kwestii społecznej, miałoby być automatycznie mieszaniami się do polityki? Jest przecież wiele problemów społecznych, które nie są związane bezpośrednio z wiarą, chociaż wiara stanowi dla wierzących dodatkową motywację w ich podejmowaniu i rozwiązywaniu.

Czy zatem slogan, że Kościół nie powinien mieszać się do polityki, oznacza to, że w swoim przepowiadaniu powinien on w takich społecznych i politycznych kwestiach pozostać niemy? Czy nie wolno mu popierać postulatów, które w pełni odpowiadają jego nauce społecznej i przeciwstawiać się tym, które jej zaprzeczają? Nauka społeczna Kościoła katolickiego nie jest przeznaczona dla jakiegoś fikcyjnego, w pełni katolickiego społeczeństwa, ale są to zasady, które Kościół przedstawia i o których realizację zabiega w przekonaniu, że służą najlepiej każdemu społeczeństwu, także pluralistycznemu, bo służą *każdemu* człowiekowi.

W sumie katolicy chcą jedynie móc robić to samo, co robią niekatolicy: próbować przekonać do swoich postulatów większość parlamentarną. Co w tym złego? Dlaczego miałyby mieć do tego prawo jedynie osoby stowarzyszone w partiach i organizacjach społecznych (również jawnie ateistycznych czy liberalnych), a katolikom należałoby tego zabronić?

Nie rozumiem, co w przypadku aborcji miało być prawdą jedynie religijną albo jedynie polityczną? Czy istnieje „katolickie” lub „niekatolickie” życie? Katolicy nie chcą nikomu narzucać swojej wiary, tylko konsekwentnie pytają o to, czy ludzki płód jest człowiekiem, czy też nie i jakie są kryteria tego rozstrzygnięcia. Dlaczego nie ma im być wolno proponować takich rozwiązań, które chronią człowieka od początku, a nie dopiero od jakiegoś późniejszego etapu życia?

Najbardziej zastanowiło mnie jednak to skwapliwe podkreślanie przez niektórych duchownych nieprzystawalności Ewangelii a prawa państwowego. Tym twierdzeniem ferujący tego rodzaju opinie stawiają siebie w dosyć dziwnej roli neutralnych arbitrów, nie zajmujących stanowiska, stojących tak jakby „ponad” i sugerujących, że postawa „pro life” oraz postawa „pro choice”, a więc w tym wypadku – przeciw aborcji i na rzecz aborcji, to dwie równorzędne opcje i każdy wierzący może sobie między nimi wybrać, podczas gdy oni patronują jakby obydwu stronom sporu. To mocno nieuczciwe! Jest to stanowisko konformistyczne, będące próbą unikania konfliktu za wszelką cenę. Akurat ochrona życia każdego człowieka, która jest centralnym elementem konsekwentnie rozumianych praw człowieka, należy do podstawowych przekonań moralnych zgodnych z wiarą katolicką.

Duchowni wyrażający się w pogardliwy sposób o zaangażowaniu katolików (przecież Kościół to nie tylko hierarchia!) w politykę, pozostawiają świeckich, broniących życia samym sobie, odmawiają im niezbędnego wsparcia w sytuacji ostrego społecznego konfliktu. Czyż to nie właśnie sfera społeczna i polityczna jest miejscem, w którym świeccy powinni się angażować? Można i trzeba dyskutować nad tym, czy robią to bardziej czy mniej sprawnie i przekonująco (niektórzy nieco siermiężnie – nie da się ukryć!). Ale kiedy nadstawiają głowę i swoją reputację, by bronić zawartych w nauce społecznej Kościoła wartości, które jednocześnie należą do konsekwentnie rozumianych praw każdego człowieka, duchowni nie powinni im odmawiać swojego wsparcia. Jeśli duchowni tego nie czynią, a nawet się od nich dystansują, świeccy mają prawo czuć się opuszczeni przez swoich pasterzy. Jeżeli ktoś określa to jako mieszanie się Kościoła do polityki, to takim mieszaniem się do polityki byłyby również np. manifesty gremiów akademickich i naukowych (przecież rzekomo pluralistycznych!) na temat aktualnej sytuacji za jedną stroną sporu, a przeciwko drugiej. Jeśli przestrzeń publiczna miałaby być zarezerwowana jedynie dla ateistów i agnostyków, to byłby to koniec pluralizmu, który ponoć stanowi w demokratycznym społeczeństwie tak istotną wartość.